

Bartłomiej Kozłowski

Prasowy zamach stanu?

Artykuł opublikowany pierwotnie (pod innym tytułem) w ramach działu [Kartka z kalendarza](#) na portalu [Polska.pl](#).

Na początku grudnia 2006 r. Polską wstrząsnęły – jeśli można tak powiedzieć – medialne doniesienia o tzw. seksaferze w „Samoobronie”. Sprawa – przypomnijmy ją w największym skrócie – wybuchła po tym, jak Aneta Krawczyk – była radna „Samoobrony” i dyrektorka biura poselskiego jednego z głównych działaczy tej partii, Stanisława Łyżwińskiego - opowiedziała reporterowi „Gazety Wyborczej” że pracę w „Samoobronie” dostała w zamian za usługi seksualne dla Łyżwińskiego, a także dla samego szefa „Samoobrony” Andrzeja Leppera.

Według Anety Krawczyk, Łyżwiński miał być ojcem jej najmłodszego, trzy i pół letniego dziecka. Jak wkrótce się okazało, była to nieprawda – przeprowadzone badania DNA Łyżwińskiego, Anety Krawczyk i jej dziecka wykluczyły taką możliwość.

W chwili, gdy pisany jest ten artykuł, nie wiadomo, jak dalej potoczy się sprawa „seksafer” i jakie – ostatecznie - będą jej skutki. Łyżwiński nie jest ojcem dziecka Anety Krawczyk – to wiemy na pewno. Nie jest nim – zdaniem jej samej – również Andrzej Lepper. Ale nie znaczy to, że cała sprawa jest po prostu jakimś wymysłem – kobiet twierdzących, że były wykorzystywane seksualnie przez działaczy „Samoobrony” jest wiele (dowody przeciwko Łyżwińskiemu były na tyle mocne, że Lepper – nie czekając na decyzję prokuratury – zadbał, by przestał on być członkiem partii).

Prasowy zamach stanu?

Zostawmy jednak w spokoju samą „seksaferę”. Jest ona, póki co, przedmiotem nader ożywionej dyskusji w środkach masowego przekazu, zajmuje się nią też prokuratura. Przyjrzyjmy się natomiast reakcji przewodniczącego tej partii, Andrzeja Leppera, na relacje prasowe o zachowaniach jej działaczy, a więc doniesieniem do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego o szykowanym przez „Gazetę Wyborczą” zamachu stanu.

Przypomnijmy tu, że 11 grudnia 2006 r. Andrzej Lepper złożył w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego raport, w którym stwierdził, że redakcja „Gazety Wyborczej” publikując kłamliwe - rzecz jasna – informacje o molestowaniu seksualnym pracownic przez czołowych działaczy „Samoobrony” popełniła przestępstwo określone w artykule 128 §2 [kodeksu karnego](#). Przepis, na który powołał się Lepper mówi, że każdy

„kto czyni przygotowania do popełnienia przestępstwa określonego w §1, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat pięciu”.

Paragraf 1 artykułu 128 k.k., do którego odwołuje się przytoczony w raporcie paragraf 2 stwierdza, że ten

„kto, w celu usunięcia przemocą konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej podejmuje działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3”.

To jakiś absurd

Pojawia się zatem pytanie – czy publikowanie artykułów prasowych, oskarżających czołowych działaczy jednego z będących przy władzy ugrupowań o niewątpliwie niecne, przestępcze i wywołujące powszechne potępienie postępowanie, może stanowić przestępstwo „podjęcia przygotowań” do dokonania zamachu stanu? Na zdrowy rozum, sama myśl o tym wydaje się absurdalna. „Czynienie przygotowań” do usunięcia przemocą „konstytucyjnego organu” państwa kojarzy się raczej z sytuacją, w której jacyś ludzie (bo zamach stanu raczej nie jest dokonywany przez pojedyncze osoby) – mając zamiar pozbawić np. konkretnego ministra, rząd, parlament czy prezydenta posiadanej władzy w drodze skierowanych przeciwko tym osobom czy instytucjom aktów gwałtu – potajemnie gromadzą broń lub materiały wybuchowe, opracowują plany ataku na obiekty rządowe, dokonują rekonesansu takich obiektów i środków ich zabezpieczeń. Myśl, że przestępstwo z art. 128 §2 może polegać na publikowaniu artykułów – choćby nawet rzeczywiście jątrzących i – założmy dla dobra argumentacji – fałszywych – wydaje się czymś kompletnie niedorzecznym.

Nieliberalne prawo o zniesławieniu

Oczywiście – konieczna jest tu drobna dygresja. Stwierdzenie, że publikowanie artykułów, w których jest mowa o tym, że czołowi działacze jednej z rządzących partii dopuścili się przestępstw przeciwko wolności seksualnej kobiet, nie jest przestępstwem „czynienia przygotowań” do dokonania zamachu stanu nie jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że nie może być ono żadnym przestępstwem w ogóle. Napisanie o kimś, że oferował on jakiejś osobie pracę w zamian za usługi seksualne może (choć oczywiście nie musi) stanowić przestępstwo zniesławienia (art. 212 k.k.). Mówiąc o tym, warto wspomnieć, że istniejące w obecnym, uchwalonym w 1997 r. kodeksie karnym przepisy o zniesławieniu – delikatnie mówiąc – nie grzeszą liberalizmem.

To osoba oskarżona o zniesławienie musi dowieść przed sądem, że wypowiedziane czy opublikowane przez nią stwierdzenie było prawdziwe. I co więcej – nawet stwierdzenie prawdy może zaprowadzić człowieka do więzienia – jeśli sąd uzna, że nie służyło ono „obronie społecznie uzasadnionego interesu”. Ponadto, jakiegokolwiek dowodzenie prawdy jest zakazane, jeśli inkryminowany zarzut dotyczył czyjegoś życia prywatnego lub rodzinnego – chyba że jego podniesienie miało zapobiec niebezpieczeństwu dla życia lub zdrowia człowieka, albo demoralizacji osoby małoletniej.

Z tej ostatniej reguły wynika ni mniej ni więcej, że polska prasa nie mogłaby – bez narażania się na odpowiedzialność karną – opisać historii tego typu, co np. pamiętna „afera rozporkowa” byłego prezydenta USA Billa Clintona i Moniki Lewinsky – gdyby jej bohaterem był któryś z polskich polityków. Warto też zauważyć, że zasada, iż to oskarżony musi dowieść przed sądem prawdziwości swoich słów – a nie, że to jemu trzeba udowodnić, że kłamał - może skutecznie odstraszać nie tylko od publikowania kłamstw, ale w jakiejś mierze także od ujawniania prawdy, gdyż autorzy nawet całkowicie prawdziwych stwierdzeń mogą powstrzymać się przed ich publikacją z obawy przed tym, że nie zdołają udowodnić ich prawdziwości w sposób wymagany przez sąd – szczególnie, że samo udowodnienie prawdziwości inkryminowanego stwierdzenia nie gwarantuje wyroku uniewinniającego w procesie o zniesławienie – jeśli sąd uzna, że stwierdzenie takie nie służyło „obronie społecznie uzasadnionego interesu”. Ale nawet, jeśli uznajemy, że reguły polskiego prawa karnego dotyczące zniesławienia są słuszne to – mimo wszystko – zgodzimy się chyba co do tego, że zniesławienie (które, przede wszystkim, ścigane jest w zasadzie wyłącznie z oskarżenia prywatnego) i szykowanie zamachu stanu są – na zdrowy rozum – przestępstwami kompletnie różnej kategorii. „Znaj proporcją, mocium panie” – aż się prosi przytoczyć tu znane staropolskie powiedzonko.

Tak mogłoby być – za Stalina

Tym jednak, którym sama myśl o tym, że krytyczne teksty o politykach mogłyby zostać potraktowane jako przestępstwo szykowania siłowego przewrotu wydaje się absurdem, warto przypomnieć, że były czasy, w których takie właśnie potraktowanie tekstów tego choćby typu, jak te które ukazały się w „Gazecie Wyborczej” na temat tzw. „seksafery” byłoby całkiem prawdopodobne. Warto też przypomnieć o tym ewentualnym zwolennikom wytoczenia „Gazecie Wyborczej” takiego procesu, jaki zamarzył się Lepperowi – aby uświadomili sobie, do jakich praktyk – w sposób, miejmy nadzieję, nieświadomy – chcieliby w ten sposób nawiązać.

Traktowanie krytycznych wypowiedzi o politykach, partiach politycznych, ustroju państwa, posunięciach władzy, sytuacji społeczno-gospodarczej itp. jako przestępstwa przygotowywania zamachu stanu było czymś nader częstym w późnych latach 40-tych i wczesnych 50-tych, a więc w okresie potocznie zwanym czasami stalinowskimi. Tak właśnie ówczesne sądy, a zwłaszcza Najwyższy Sąd Wojskowy – interpretowały artykuł 87 [Kodeksu Karnego Wojska Polskiego z 1944 r.](#) (któremu w znacznej mierze podlegali także cywile), przewidujący karę od 6 miesięcy do 15 lat więzienia za „czynienie przygotowań” do popełnienia takich zbrodni, jak próba pozbawienia Państwa Polskiego jego niepodległego bytu albo oderwania części terytorium, usiłowanie usunięcia przemocą organów władzy, albo usiłowanie zmiany (czyli – jak się popularnie mówi – „obalenia”) przemocą ustroju.

Groźne dowcipy

Oto parę cennych myśli z orzecznictwa NSW. Z wyroku z dnia 3 października 1947 r.:

„Rozpowszechnianie wiadomości, mogących urobić wśród szerokich warstw społeczeństwa nastroje wrogie ludowo - demokratycznemu ustrojowi Państwa, wyczerpuje pojęcie czynności przygotowawczych do zbrodni z art. 86 K.K.W.P.”.

Z orzeczenia z 21 stycznia 1948 r.:

„Przez czynności przygotowawcze do popełniania przestępstwa określonego w art. 85 lub 86 K.K.W.P. podpada działalność tych, którzy mając na celu podważenie zaufania społeczeństwa do władzy ludowej rozpowszechniają plotki i pogłoski, które pewne sprawy i zagadnienia przedstawiają w świetle jawnie wrogim dla demokratycznego ustroju państwa. Przygotowanie odpowiednich nastrojów i psychicznego nastawienia do zmiany przemocą ustroju państwa, samo przez się nie stanowi jeszcze aktu przemocy, stanowi jednak przygotowanie do zbrodni stanu określonych w art. 85 i 86 K.K.W.P.”.

I najciekawszy chyba kawałek, z orzeczenia NSW z 9 września 1949 r.:

„Czynność przygotowawczą z art. 87 K.K.W.P. stanowi również rozpowszechnianie wiadomości, które z uwagi na swą treść obliczone są na stopniowe, długotrwałe urabianie poglądów w duchu wrogim dla ludowego ustroju, na systematyczne sączenie w zafasane odłamy społeczeństwa jadu niechęci i nienawiści do ustroju ludowego, do ludzi stojących u steru Państwa, do narodów i państw sprzymierzonych. Jedną z wrogich form działania przewidzianego w art. 87 KKWP może być rozpowszechnianie wiadomości, o których wyżej była mowa, w postaci anegdot, tzw. „kawałów” itp. Taka forma wrogiego działania jest niekiedy nie mniej szkodliwa od innych form rozpowszechniania fałszywych czy alarmujących wiadomości, gdyż ma naturalną tendencję i łatwość rozprzestrzeniania się pod niewinnym płaszczkiem mniej lub więcej udanego dowcipu. Skazany, nie tylko rozpowszechniał wrogie

wiadomości w postaci „kawałów”, lecz sam był autorem takich kawałów, a nadto szerzona przezeń wroga propaganda przyjmowała również inne formy”.

Nie wymyślili tego komuniści

Pomysł „podciągnięcia” antyrządowych wypowiedzi pod paragraf o szykowaniu zdrady czy zamachu stanu nie był oryginalnym wymysłem rządzących Polską od 1944 r. komunistów. Grunt pod wspomniane powyżej wyczyny stalinowskiego sądownictwa wojskowego przygotowany został w jakiejś mierze przez orzecznictwo z okresu przedwojennego – przypomnijmy tu chociaż słynną sprawę działaczy tzw. centrolewu, skazanych w tzw. [„procesie brzeskim”](#). Działacze ci, jak wiadomo, skazani zostali za przygotowywanie zamachu, mającego na celu usunięcie siłą członków sprawującego władzę w Polsce rządu i zastąpienia ich przez inne osoby, bez jednak zasadniczej zmiany ustroju w Polsce, przy czym działalność ta polegała m.in.

„Na wywoływaniu i podniecaniu w masach nastroju rewolucyjnego (...) przez podburzanie do nienawiści przeciwko rządowi, do obalenia go przemocą, do nieposzanowania władzy, do niepłacenia podatków” oraz „przez dyskredytowanie władzy, ośmieszanie i wyszydzenie władz państwowych, przy czym akcja ta była prowadzona w prasie, na kongresach, zgromadzeniach, wiecach, zebraniach, oraz szerzona w odezwach i ulotkach”.

Sposób myślenia całkiem podobny do tego, na którym w czasach stalinowskich opierało się traktowanie „wrogiej propagandy” jako przestępstwa „podjęcia czynności przygotowawczych” do obalenia przemocą ustroju nie jest też w istocie obcy wielu ludziom, którzy z pewnością oburziliby się na porównywanie ich ze stalinowskimi sędziami czy prokuratorami. Czy argument, że tzw. „mowa nienawistna” – czyli wypowiedzi atakujące i obrażające takie czy inne grupy narodowe, etniczne, rasowe, religijne etc. powinna być ścigana karnie z tego powodu, że może ona wywołać u niektórych ludzi emocje i przekonać ich do poglądów mogących niekiedy stać się podłożem przestępstw przeciwko członkom takich grup nie jest w gruncie rzeczy podobny do argumentu, że należy karać za opowiadanie antyrządowych dowcipów politycznych, gdyż słuchanie i czytanie takich dowcipów może przyczyniać się do kształtowania nastrojów sprzyjających siłowemu zamachowi na istniejący – rzecz jasna, najbardziej postępowy i demokratyczny – ustrój?

Oczywiście, w oparciu o tego typu rozumowanie można by uzasadnić mnóstwo zakazów wypowiedzi. Na identycznej zasadzie można by zakazać propagandy antyglobalistów – jak wiadomo, niektórzy ludzie przekonani do poglądu, że działalność takich instytucji, jak Bank Światowy, Światowa Organizacja Handlu, czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy przyczynia się do głodu, bezrobocia, kryzysów gospodarczych, niszczenia środowiska i Bóg wie jakich jeszcze nieszczęść naszego świata, mogą posunąć się do wszczęcia rozruchów, po których miasto będące miejscem obrad którejś ze wspomnianych organizacji będzie wyglądało tak, jakby przeszedł po nim huragan. Podobnie wygląda kwestia propagandy przeciwników eksperymentów genetycznych - niektórzy z ludzi przekonanych do poglądu, że ingerencje w dziedzinę genetyki niosą za sobą nieuchronne zagrożenie dla ludzi i środowiska naturalnego mogą posunąć się do takich czynów, jak niszczenie plantacji genetycznie zmodyfikowanego zboża lub podkładanie bomb pod laboratoria wykonujące eksperymenty genetyczne. Identyczny wpływ może mieć agitacja obrońców praw zwierząt – jacyś osobnicy przejęci losem zabijanych na żywność i futra oraz wykorzystywanych w eksperymentach laboratoryjnych „braci mniejszych” mogą podpalić sklep z futrami albo podłożyć bombę pod laboratorium, w którym dokonuje się eksperymentów na zwierzętach. Wreszcie – choć nie jest to oczywiście ostatni możliwy do podania przykład – na analogicznej zasadzie, jeśliby tylko zastosować ją w sposób konsekwentny, a nie wybiórczy, można by zakazać propagandy

antyrasistów i antyfaszystów – w krajach Europy Zachodniej wielokrotnie zdarzały się napady antyfaszystów i działacze młodzieżowych organizacji żydowskich na prawdziwych, czy rzekomych tylko faszystów, względnie tzw. rewizjonistów Holocaustu.

Warto o tym wspomnieć, by uświadomić sobie, że jeśli dostatecznym powodem do zakazania jakichś wypowiedzi może być obawa przed tym, że wypowiedzi te mogą mieć „zły wpływ” na niektórych z ich słuchaczy lub czytelników – i przez to w jakiś pośredni (nie mówimy tu, oczywiście, o rzadkich sytuacjach, w których słowa bezpośrednio i w sposób zamierzony przez ich autora pobudzają ludzi do przemocy) sposób przyczynić się do szkodliwych czynów, to przy takim podejściu nie ma, w gruncie rzeczy, granic, poza które ograniczenia wolności słowa logicznie rzecz biorąc nie mogłyby się posunąć. Powyższą myśl bardzo dobrze ujął niegdyś sędzia Sądu Najwyższego USA [Oliver Wendell Holmes](#), stwierdzając w swym zdaniu odrębnym w sprawie [Gitlow versus New York](#), że

„każda idea jest podżeganiem” a „jedyną różnicą między wyrażeniem jakiejś opinii a podżeganiem w węższym sensie tego słowa jest występujący w przypadku tego drugiego entuzjazm mówcy wobec spodziewanego rezultatu wypowiedzi”.

Zakazemy jednego, potem drugiego...

Rzecz jasna, możemy pocieszać się tym, że do takich ograniczeń wolności słowa, jak w czasach stalinowskich – kiedy to za byle dowcip, byle krytyczną uwagę o Bierucie, Rokossowskim czy – nie daj Boże – Stalinie można było trafić na wiele lat do więzienia jest – póki co – jeszcze bardzo daleko.

W Polsce istnieje jak najbardziej wolna prasa, nie jest cenzurowany Internet, a przypadki uwięzienia ludzi za same tylko słowa są czymś – na szczęście - wyjątkowym. Warto też jednak uświadomić sobie, że – pomijając może jakąś dziejową katastrofę tego rodzaju, co podbój przez totalitarne mocarstwo (na co w przewidywalnej przyszłości się nie zanoszą) - wolność ekspresji nie zostanie zlikwidowana z dnia na dzień. Jeśli do czegoś takiego miałyby kiedykolwiek dojść, to już prędzej może to być powolny proces erozji, działania mechanizmu „równi pochyłej” – najpierw zakazujemy jednych wypowiedzi, potem drugich, później trzecich. Ograniczeń wolności ekspresji w Polsce jakby nie było, jest dużo i – co więcej – wprowadza się i proponuje kolejne – w Ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej oprócz istniejącego już zapisu o negowaniu zbrodni nazistowskich i komunistycznych pojawił się przepis przewidujący karę do trzech lat więzienia za „publiczne pomawianie Narodu Polskiego o udział, organizowanie lub odpowiedzialność za zbrodnie komunistyczne lub nazistowskie”, bardzo możliwe, że do kodeksu karnego zostanie wpisany zakaz propagowania pedofilii (ciekawe po co, skoro takie propagowanie i tak – jak się zdaje - podpada pod niepotrzebny moim zdaniem, a przede wszystkim sprzeczny z zasadą wolności słowa paragraf o „pochwalaniu popełnienia przestępstwa” – dodatkowe wprowadzenie takiego zakazu miałyby sens tylko wówczas, gdy rozumiany był on w sposób absurdalnie szeroki – tylko że pod taki zakaz, przy odpowiedniej jego interpretacji można byłoby podciągnąć „Romea i Julię” Szekspira – bądź co bądź, treść tej sztuki w sposób całkiem wyraźny sugeruje, że zakazany przez obowiązujące prawo karne (art. 200 k.k.) seks z osobami w wieku 13 – 14 lat jest rzeczą zupełnie normalną) (*), nawołuje się do wprowadzenia przyspieszonego trybu orzekania i rujnujących odszkodowań w sprawach o „naruszenie dóbr osobistych” polityków przez prasę, pojawiają się nawet żądania likwidacji gazet. Jak i gdzie się to wszystko skończy – nie wiadomo. Pewne jest jedno – pomysł, by oskarżyć redaktorów „Gazety Wyborczej” o szykowanie zamachu stanu przypomniał naprawdę ponure czasy.

- Pod koniec 2009 r. kodeks karny został uzupełniony o art. 200b, stanowiący, że ten *„kto publicznie propaguje lub pochwala zachowania o charakterze pedofilskim, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności, albo pozbawienia wolności do lat 2”*. Odnośnie propozycji karania za „propagowanie pedofilii pisałem w artykule [„Propagowanie zachowań pedofilskich – niepotrzebne i niebezpieczne \(dla wolności słowa\) przestępstwo”](#).

[Strona główna](#)